

Rynek dla wszystkich, jedzenie dla wybranych

16 lutego 2009

Uwaga mediów jest dziś skupiona na skutkach załamania sektora finansowego w USA i Europie. Jednak w cieniu tych spektakularnych wydarzeń pozostaje los setek milionów ludzi, którym kredyt hipoteczny nigdy się nawet nie przyśnił.

Prawie miliard osób głoduje. Nie dochodzi już do dramatycznych wydarzeń, jakie obserwowaliśmy w wielu krajach ubogiego Południa na początku roku. Ceny żywności spadły dziś znacząco, co spowodowane jest prawdopodobnie szybką obniżką cen ropy i ogólnym paraliżem kapitału spekulacyjnego, wycofującego się z rynku kontraktów terminowych w wyniku problemów, jakie przeżywa światowy sektor finansowy. Nadal sytuacja wielu biednych regionów jest niepewna. Nie widać też szans na szybkie zmiany systemowe, dające nadzieję na skuteczne zmierzenie się z kwestią nędzy i niedożywienia.. Organizacja Narodów Zjednoczonych ogłosiła 16 października światowym dniem żywności, by zwrócić uwagę krajów zamożnych na problem globalnego głodu. Gest, zdawałoby się, szlachetny; wielka szkoda jednak, że samo ONZ daje zielone światło polityce pomocowej, która zamiast zmagać się z fundamentalnymi przyczynami obecnego stanu rzeczy, utrwała patologie światowego systemu żywnościowego. Ich źródłem jest podporządkowanie rolnictwa krajów rozwijających się interesom kluczowych graczy globalnego agrobiznesu.

NA CZYM (NIE) POLEGA SAMODZIELNOŚĆ ŻYWNOŚCIOWA

Dantejskie sceny, jakie nawiedziły świat, nosiły częstokroć znamiona społecznego buntu przeciw dramatycznym podwyżkom cen żywności. W Burkina Faso, Mali, Wybrzeżu Kości Słoniowej, w Indonezji i wielu innych miejscach wybuchły zamieszki na tle gwałtownie rosnących kosztów wyrobów spożywczych. W marcu ryż

był na światowych rynkach droższy o 74 proc. niż rok wcześniej, soja – 87 proc., pszenica – 130 proc. [1] W Mexico City ministerstwo finansów oblężone zostało przez tłum bijący w metalowe garnki po rekordowej, trzystuprocentowej, podwyżce cen tortilli. Od Haiti na zachodzie, po Indonezję na wschodzie, ludzie nie mogący wyżywić swych rodzin wylegali na ulice, domagając się politycznych działań zmierzających do poprawy ich losu. Do protestów przeciwko rosnącym cenom doszło również w zamożnej części Europy, m.in. w Hiszpanii, Włoszech, Belgii, gdzie jednak sytuacja żywnościowa, pomimo znacznej inflacji cen podstawowych produktów, oczywiście nie przypominała dramatu dokonującego się na południowej półkuli – tam biedni wydają na jedzenie trzy czwarte swoich dochodów. Świat dowiedział się o wprawiających w osłupienie „ciastkach z gliny”, do spożywania których uciekają się Haitańczycy. Według ONZ światowy kryzys żywnościowy sprowadził kolejne 75 milionów ludzi poniżej progu zaspokojenia podstawowych potrzeb biologicznych. Ich oficjalna liczba wynosi dziś 923 miliony [2]. Nikt już dziś nie traktuje poważnie planów Szczytu Milenijnego z 2000 r., przewidujących zmniejszenie liczby głodujących o połowę do roku 2015.

Kraje grupy G8, Unia Europejska, ONZ oraz liczne ponadnarodowe organizacje pozarządowe zadeklarowały w połowie roku znaczącą pomoc dla krajów potrzebujących, podkreślając tym razem zgodnie, że kraje bogate powinny angażować się nie tylko w doraźne działania na rzecz głodujących, lecz przede wszystkim stawiać na politykę rozwojową, która pozwoli ubogim rejonom świata na rozwiązanie problemu niedomagającego rolnictwa. W opublikowanym pod koniec zeszłego roku „Raporcie o Rozwoju Świata” Bank Światowy uznaje, że rozwój rolnictwa oznacza nadzieję na poprawienie bezpieczeństwa żywnościowego ludzi skazanych obecnie na głodowanie, ponieważ większość z nich zamieszkuje tereny wiejskie. Ta słuszna uwaga pozwala Bankowi uznać nawet takie praktyki z zakresu polityki rolnej, które do tej pory aktywnie zwalczał, mianowicie subsydiowanie drobnych farmerów, również poprzez dopłaty do kosztów jakie ponoszą oni

na zakup nawozów i nasion[3]. Zbiega się to licznymi z programami rządowymi lub powstającymi z inicjatywy międzynarodowych instytucji publicznych, uruchamianymi w wielu krajach dotkniętych kryzysem. Mają one na celu przeprowadzenie na wielką skalę dystrybucji podstawowych wkładów do produkcji rolnej, a skierowane są przede wszystkim do małych gospodarstw rolnych. Programy te przebiegają we współpracy z czołowymi centrami pomocowymi świata. UE, USA, Bank Światowy i FAO (Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa) wyasygnowały łącznie na te cele ponad 4 miliardy dolarów, zaś IFAD (Międzynarodowy Fundusz Rozwoju Rolnictwa) przekazał 200 milionów dolarów. W przedsięwzięciu tym biorą też udział prywatne organizacje charytatywne, m.in. Fundacja Billa i Melindy Gatesów, która przeznaczyła na walkę z kryzysem 17 mln, z czego 7 mln na dystrybucję nasion [4]. Pomoc ta trafić ma w sumie do ponad 50 krajów, głównie Afryki, rejonu Karaibów i Azji Południowo-Wschodniej. Tej globalnej akcji towarzyszy retoryka rozwojowa, uwypuklająca przede wszystkim szanse krajów rozwijających się na zwiększenie własnej produkcji rolnej, a zatem na wzmocnienie samowystarczalności żywnościowej.

Chyba po raz pierwszy w historii adresatami głównych światowych programów pomocowych stały się miliony małorolnych chłopów. Fakt ten zwraca szczególną uwagę w kontekście hasła niezależności żywnościowej, pod którym walczą o swój interes niezależne związki zrzeszające rolników z biednego Południa, np. Via Campesina, oraz wspierające je znane organizacje pozarządowe, jak Oxfam. Niezależność żywnościowa to idea wypisywana dotychczas na sztandarach małych, lecz głośnych aktorów politycznych angażujących się chętnie w ruch alterglobalistyczny, odznaczających się bezkompromisową postawą wobec Światowej Organizacji Handlu, Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. Te trzy instytucje stały się dla wielu symbolem neokolonialnej polityki gospodarczej, które pod hasłami liberalizacji globalnego handlu wymusiły na krajach rozwijających się podporządkowanie

ich rolnictwa interesom państw rozwiniętych. W wyniku forsowania przez MFW Programu Dostosowania Strukturalnego i opartej na subsydiach polityki rolnej USA i UE, około 70 proc. krajów rozwijających się, których gospodarka opiera się przecież na rolnictwie, stało się importerami żywności netto, kupującymi jedzenie od krajów zamożnych. To, co miało być szansą na dobrobyt poprzez globalizację, okazało się ostatecznie nową formą uzależnienia od tych, którzy rozdają karty na światowych rynkach. Wystarczył więc kilkumiesięczny okres gwałtownego wzrostu cen na rynku kontraktów terminowych na surowce, by najbiedniejsi – najsłabsze ogniwo łańcucha globalnego handlu – doświadczyli dramatu. Obecnie bogata Północ, chcąc niejako zmazać z siebie piętno winowajcy, wydaje się na pozór dążyć do odwrócenia tego stanu zależności, czego świadectwem ma być globalna akcja aktywnego wspierania lokalnego rolnictwa.

Tymczasem w wielu krajach objętych tą inicjatywą, niezależne związki rolnicze otwarcie jej się przeciwstawiają. CNCR w Senegalu, CNOP w Mali, SEARICE na Filipinach [5] – to przykłady organizacji zrzeszających drobnych farmerów, dostrzegających w programach pomocowych więcej zagrożeń niż korzyści[6]. Podkreślają, że sukces subsydiów forsowanych przez ich rządy i instytucje międzynarodowe, nawet jeśli faktycznie doprowadzi do wzrostu produktywności, nie będzie oznaczał żadnej niezależności żywieniowej, a wręcz przeciwnie – dalsze uzależnienie rolniczego planktonu od interesów gigantów, rozdających karty w globalnym agrobiznesie. Wiązać będzie się to przede wszystkim ze wzrastającymi kosztami ich własnej produkcji, a jedynymi beneficjentami wzrostu wydajności rolnictwa biednych krajów staną się koncerny agrotechnologiczne, czyli dostawcy nawozów i nowych nasion, mających stać się podstawą „niezależności” krajów dotkniętych kryzysem. Są to lokalni lub regionalni przedstawiciele agrobiznesu, jak również korporacyjne olbrzymy m.in. Monsanto i Bayer, zainteresowane zapewnieniem sobie nowych rynków zbytu dla swoich produktów. Przedmiotem większości programów

dystribucji i subwencji wkładów do produkcji rolnej są tzw. nasiona hybrydowe, czyli sztucznie wytwarzane nasiona, opatentowane i wydające plony, które same w pierwszym pokoleniu pozostają bezpłodne. Stosowane jako podstawa działalności farmerskiej oznaczają pełne uzależnienie rolników od światowego przemysłu rolniczego. To natomiast będzie jednoznaczne z nadzwyczajnym wzrostem kosztów i gwałtownym wzrostem produkcji, co w sytuacji zbytu gwarantowanego przez wąskie grono pośredników przełoży się negatywnie na ceny samych produktów rolnych.

Teoretycznie to właśnie subsydia dopomóc mają w ponoszeniu kosztów. Jednak o skutkach takiej polityki przekonali się na własnej skórze rolnicy z krajów rozwiniętych. Okazało się, że głównymi beneficjentami subsydiowania produkcji drobnych (jak na warunki amerykańskie) farmerów stały się koncerny rolno-przetwórcze: producenci nawozów oraz garstka firm zajmujących się skupem, przetwórstwem i eksportem płodów rolnych. Sprowokowana subsydiami nadprodukcja zbiła ceny do tego stopnia, że pomimo subsydiów rentowność wielu gospodarstw rolnych jest minimalna, a nierzadko większość ich dochodów pochodzi z działalności pozarolniczej. Gospodarstwa te w pewnym sensie skorzystały na rosnących cenach zbóż, ale nie równoważy im to np. lawinowego wzrostu kosztów ponoszonych na nawozy [7]. De facto więc w USA praktykuje się dotowanie kilku korporacyjnych mołochów, ponieważ to one korzystają z niezwykle niskich cen skupu, lub z faktu uzależnienia ujednoliconej wielkoskalowej produkcji od sprzedawanych przez nie wyrobów agrochemicznych. Nie widać powodów, dla których sytuacja ta nie miałaby się powtórzyć tym razem w Trzecim Świecie. Mechanizm będzie tu inny, bo polegać ma na dotowaniu wkładów, a nie samej produkcji, jednak przełożenie na poziom cen może być takie samo.

Zwiększanie wydajności rolnictwa Południa jest bez wątpienia potrzebne, jeśli dąży się do istotnego ograniczenia nędzy i głodu. Nie da się jednak uciec od pytania, kto realnie czerpie

profity ze zwiększonej wydajności, skoro ostatnia fala głodu zbiega się paradoksalnie z rekordowymi – w skali planety – zbiorami. Osławiona „zielona rewolucja” (czyli przypadający na lata 60. przełom w technologiach rolniczych), postrzegana swego czasu jako obietnica odesłania nędzy do historii, znajduje dziś swój finał w utrwaleniu starych linii podziału na biednych i bogatych. O ile w 1940 r. stosunek wydajności rolnictwa dzisiejszych krajów rozwiniętych do dzisiejszych rozwijających się wynosił 10 do 1, to dziś wynosi on 2000 do 1 [8]. Ponieważ światowy system żywnościowy jest dziś podporządkowany procesom generowania zysków, zachodzącym na skale planetarną, ta przepaść technologiczna odzwierciedla udział, jaki w globalnej wartości dodanej mają mieszkańcy krajów funkcjonujących w oparciu o zacofane rolnictwo. Ale czy unowocześnianie go w sposób, jaki popiera dziś m.in. ONZ rozwiąże problem?

DLA KOGO DZIAŁA SYSTEM?

Transoceaniczny obieg płodów rolnych służy dziś sprzedaży wysoko przetworzonych produktów żywnościowych w sieciach dystrybucji, coraz bardziej opanowanych przez hipermarkety. System ten, wymagający olbrzymiej koncentracji sił produkcyjnych i centralizacji kanałów zbytu, powoduje, że zarówno towary rolne wędrujące z krajów biednych do bogatych, jak i poruszające się w drugą stronę, przechodzą przez swoiste „wąskie gardło”. Garstka korporacyjnych gigantów efektywnie kontroluje światowy obieg żywności, redukując rozproszoną siłę przetargową trzecioświatowych farmerów tak drastycznie, że faktycznie pełnią oni rolę chłopów pańszczyźnianych tyrających dla Nestlé, Coca-Coli lub Chiquity, dostarczając im taniego surowca. A przecież skoro sami produkują żywność wyłącznie na eksport, muszą za coś kupować jedzenie importowane. Tylko za co? Z ceny detalicznej bananów, jaką klient w Polsce płaci przy kasie sklepowej, do kieszeni pracownika plantacji, gdzieś w Ameryce Łacińskiej, idzie nieco ponad 1 procent.

Produkcja zbóż, od których zależy cały świat, jest domeną

krajów rozwiniętych. Trzy koncerny kontrolują niemal 90 proc. światowego handlu zbożem. Są to: Cargill, Archer Daniels Midland i Bunge, przy czym Cargill trzyma pieczę nad prawie połową międzynarodowego handlu zbożem. Ten poziom koncentracji handlu oznacza, że podstawowe dla człowieka produkty żywnościowe mogą być dowolnie przekierowywane w te rejony globalnego rynku, gdzie można na nich zarobić jak najwięcej, niekoniecznie tam, gdzie ich najbardziej potrzeba. Biedacy z Aryki Subsaharyjskiej, Indii czy Sri Lanki, dostarczają nam wszystkim herbaty, kawy lub kakao – produktów istotnych z punktu widzenia naszego stylu życia i na których zarabia się krocie. Okazuje się jednak, że ekwiwalent, jaki otrzymują w zamian, nie pozwala im dziś na zaspokojenie podstawowych potrzeb żywieniowych, bo rynek marginalizuje ich ze względu na żalosną siłę nabywczą. Tymczasem zwierzęta hodowane przemysłowo odżywiane są dziś głównie paszami wytwarzanymi na bazie ziarna. By uzyskać 1kg wołowiny potrzeba około 8kg ziarna. Mieszkańcy zamożnej Północy, mający względnie swobodny dostęp do produktów mięsnych i w coraz większym stopniu otyli, są więc, jeśli można tak powiedzieć, nie tyle konsumentami, co raczej marnotrawcami tego, czego tak brakuje ofiarom kryzysu żywnościowego. Równie absurdalny wydaje się fakt przeznaczania 20 proc. zbiorów w Stanach Zjednoczonych na produkcję biopaliw, które stanowią około 2 proc. paliw płynnych, ale za to, jak konstatuje poufny raport Banku Światowego, do którego dotarł „The Guardian”, odpowiadać mogą za 75 proc. wzrostu cen żywności [9].

Także mieszkańcy Europy lub USA odczuwają wzrastające koszty żywności, ale ponoszą je sięgając po prostu coraz głębiej do swych portfeli. Kraje Południa ponoszą koszty innego rodzaju – mierzy się je w ofiarach klęski głodu. W tym roku wyniosły one dziesiątki milionów. Jest jednak ktoś, kto bez wątpienia zarabia na kryzysie żywnościowym. Dla nich kaprysy światowych giełd towarowych są błogosławieństwem. W okresie gwałtownego wzrostu cen, Cargill odnotował wzrost zysków o 110 proc.[10] Wielkość tę można by równie dobrze uznać za miarę

irracyjalności światowego systemu żywnościowego, o ile tylko uznać, że racjonalność tegoż zakładać powinna minimum sprawiedliwości.

Pozorny charakter powrotu do suwerenności żywieniowej, do której wydają się zmierzać podejmowane aktualnie programy pomocowe, spotyka się z krytyką nie tylko ze strony lokalnych związków farmerskich, ale i specjalistów zajmujących się kwestią rolnictwa w ubogich częściach świata [11]. Argument mówiący o zwiększonej produkcji skierowanej na rynek lokalny jest wątpliwy, ponieważ produkt będzie musiał przechodzić przez łańcuch pośredników ściśle związanych z kluczowymi podmiotami rynku światowego. Ceny, jakie ostatecznie zapłacą końcowi odbiorcy przetworzonej żywności, zależą od ich apetytów na zysk. Między innymi z tego powodu obecność na tych rynkach najtańszych na świecie zbóż amerykańskich i tak nie rozwiązała, jak dotąd, problemu niedożywienia. Oprócz podkreślenia niebezpieczeństwa uzależnienia rolników od niezwykle skoncentrowanego globalnego agrobiznesu, co zmusi ich do ponoszenia wysokich kosztów produkcji, akcentuje się często fakt oparcia lokalnego rolnictwa na tzw. bioróżnorodności, którą rolnictwo bazujące na roślinności hybrydowej wyeliminowałoby. Mowa jest tu o niebezpieczeństwie zachwiania równowagi ekologicznej rejonu, a zatem o nieprzewidywalnych skutkach ubocznych dla działalności rolniczej (do których należy szybkie jałowienie gleby) oraz o rezygnacji z dywersyfikacji upraw, co przekłada się na dalsze zwiększanie ryzyka i tak nieuchronnego dla działalności rolniczej prowadzonej na małą skalę. Dochodzi ponadto problem wpisania rolnictwa w tradycję kulturową i lokalne życie społeczne, a oba te fundamenty bez wątpienia podkopałby agrobiznes, eliminując stare wzorce rozpowszechniania i utrwalania wiedzy o rolnictwie. Sam z kolei wymagałby know-how takiego rodzaju, który z pewnością nie rozwinąłby się dostatecznie szybko w stopniu wystarczającym lokalnym rolnikom do zmierzenia się z nieprzewidywalnymi konsekwencjami nowego charakteru ich działalności. Trudno nie liczyć się więc z tym,

że w dłuższym okresie czasu będziemy mieli do czynienia z procesem eliminacji drobnej aktywności rolniczej na rzecz upraw wielkoskalowych.

Czy to źle? Przecież na tym właśnie fundamencie wspiera się rolnictwo krajów rozwiniętych, gdzie w branży tej pracuje przeważnie kilka procent ogółu zatrudnionych (Wielka Brytania – 1%, USA – 2%, Kanada – 3%, Francja – 4%), a nie grubo ponad połowa, jak wielu krajach Afryki Subsaharyjskiej (Ghana – 55%, Kamerun – 61%, Zambia – 70%, Etiopia – 90%) [12]. Wzrost wydajności to nie wszystko, liczy się również sposób jego spożytkowania. Może on wyglądać tak, jak w Kenii, gdzie wielkie areały rolne przeznaczone są pod uprawę kwiatów idących na eksport, zaś jedna trzecia populacji chodzi niedożywiona. Funkcjonowanie wewnątrz globalnego agrobiznesu oznacza w praktyce zdolność do opłacalnego funkcjonowania na rynku w oparciu o ekonomię skali, lub gotowość odejścia do innej branży. W warunkach obecnie kształtujących oblicze światowego rolnictwa, w dziedzinach, w których hodowla może być dostatecznie zautomatyzowana, drobni rolnicy byli, są i będą wypychani przez wielkie, quasi-przemysłowe gospodarstwa rolne. Wskutek tego, część z nich zostaje na wsi pracując dalej na nie swoich już farmach za głodowe pensje, ale duża ilość przemieszcza się do miast, gdzie zasiedlają slumsy. To właśnie rozległe dzielnice biedy są głównym czynnikiem napędzającym szybką urbanizację afrykańskich miast, chociaż słowo urbanizacja stosować tu można jedynie umownie. Faktycznie bowiem są to obszary bez jakiegokolwiek infrastruktury. Ich mieszkańcy są albo pozbawieni jakichkolwiek dochodów, albo uzyskują je z działalności przestępczej lub podlegającej wyłącznie osobliwym prawom miejskiej dżungli, co zazwyczaj na jedno wychodzi. Licząc się więc z nieuchronnością migracji z prowincji do miast, jako ze skutkiem zwiększania wydajności rolnictwa, pamiętać trzeba, że ta nowa siła robocza nie może być korzystnie zagospodarowana m.in. ze względu na brak państwowych środków inwestycyjnych, co również wiąże się ze słabą pozycją afrykańskiego rolnictwa,

z którego WTO uczyniło po prostu obszar drenażu surowca i wyprowadzania wartości dodanej do państw już cieszących się bogactwem. W ten sposób błędne koło się zamyka.

Problemu nędzy, głodu i niedomagającego rolnictwa nie rozwiąże też oczywiście dalsza liberalizacja. Entuzjaści wolnego rynku lubią podkreślać, że rolnictwo biednych krajów zostało zdruzgotane przez dumpingowe ceny amerykańskich i europejskich zbóż, sztucznie stworzone przez państwowe subsydia, i przez selektywne cła na produkty pochodzące z państw rozwijających się. To w dużej mierze prawda. Jednak zdjęcie z rynku wszelkich ograniczeń nijak nie zmieni relacji jednokierunkowej zależności, wiążącej dziś ze sobą podmioty globalnego kapitalizmu rolnego. Wręcz przeciwnie, może wzmóc i zakonserwować asymetrię sił, tworzących dziś rynek. Doskonałym tego przykładem jest dokonana w toku ostatnich dekad ewolucja światowego rynku kawy, tworzonego m.in. przez około 25 milionów drobnych producentów. W latach 90. wielkość sprzedaży detalicznej kawy, skoncentrowanej w krajach wysoko uprzemysłowionych, wynosiła 30 mld dolarów, z czego do krajów dostarczających surowiec docierało około 12 mld. Jednak pod naciskiem WTO eliminowano kolejne tzw. trading boards, czyli instytucje powołane przez państwa, pośredniczące w handlu międzynarodowym i ustalające ceny eksportowe. Po ich zniknięciu, ponadnarodowe koncerny mogą bez przeszkód negocjować, a w praktyce ustalać, ceny surowca bezpośrednio z drobnymi farmerami. W 2002 r. rynek kawy wart był ponad 70 mld dolarów, ale do krajów producenckich wędrowało zaledwie 5 mld [13]. Jest to skutek słabej pozycji przetargowej hodowców kawy, którzy w starciu z gigantami w rodzaju Nestlé, nie mają na dobrą sprawę innego wyjścia, jak postępować według zasady: „bierz, co ci dają, albo głoduj”. Rzecznicy bezwarunkowego urynkowania, powołując się na argument o zbawiennej roli konkurencji, nie biorą za zwyczaj pod uwagę, że bez porównania większa konkurencja istnieje pomiędzy milionami farmerów, przywiązanych do swych poletek, niż pomiędzy dysponującymi lotnym kapitałem korporacjami, które w dużym stopniu odgrywają

rolę regionalnych monopolistów skupu. Jest tak z powodu sytuacji klasycznego oligopsonu – układu, w którym kilku nielicznym nabywcom, skupującym towar od milionów oferentów, nie opłaca się konkutować ze sobą, igrając z ryzykiem wojny cenowej, skoro uzależnionych od nich farmerów mogą wyciskać jak cytrynę.

Światowa produkcja i handel żywnością w ogóle coraz mniej przypomina to, co zwykle rozumiemy pod pojęciem rynku. Hodowla i produkcja nasion, przeznaczonych dla rolnictwa komercyjnego jest na dobrą sprawę opanowana przez koncerny Monsanto, Syngenta, Bayer i DuPont, wokół których tworzą się tzw. food clusters, czyli osobne konglomeraty firm, obejmujące całość procesu opracowywania, testowania, patentowania, produkcji i zbytu zarówno nasion, jak i komplementarnych wobec nich produktów typu pestycydy, nawozy [14]. Przedsiębiorstwa tworzące te całości, scalone często jakąś formą wspólnoty kapitałowej, funkcjonują jako zwarty, choć elastyczny, hierarchiczny układ, pozwalający na planową i przewidywalną alokację zasobów, logistykę i optymalizację kosztów. Pozwala to na powiększanie zysków poprzez podział rynku i uzależnianie końcowych odbiorców od ustalonych opanowanych przez poszczególne koncerny kanałów rynkowych. Dzięki temu Monsanto zdolny jest do posiadania od 70 proc. do 100 proc. udziału w rynku różnych odmian. Współpraca wiąże także największych producentów z największymi koncernami handlowymi i sieciami sprzedaży detalicznej. Korporacje wykorzystują szereg możliwości na obejście amerykańskich i europejskich przepisów antykartelowych, np. wymieniając się patentami, co miało miejsce w przypadku Monsanto i Cargill. Te gigantyczne przedsiębiorstwa są też pierwszymi beneficjentami spektakularnych programów pomocowych, bowiem są dostawcami produktów rozprowadzanych i dotowanych przez rządy i instytucje takie jak Bank Światowy.

Subsydia rolne USA i UE odegrały pewną rolę w wypieraniu rolnictwa wielu ubogich krajów, których rolnicy okazali się

niezdolni do konkurencji na własnych rynkach z tanim cukrem, pszenicą, kukurydzą czy soją pochodzącymi z krajów rozwiniętych. Jednak w świetle powyższych uwag trzeba uznać, że samo zniesienie dotacji niczego nie rozwiąże. Wspomniana już kolosalna różnica wydajności powoduje, że udział krajów rozwijających się w rynku światowym pozostanie bez zmian. Pierwszymi ofiarami eliminacji dotacji będą indywidualni farmerzy w USA i Europie, którzy już dziś balansując na granicy rentowności, zaczną tracić swoje areały na rzecz wielkich firm. To przecież nie lokalni producenci sprzedają swoje płody rolne za oceanem, a koncerny handlowe, korzystające z niskich cen skupu na zdominowanych przez siebie rynkach w krajach zamożny i z uprawiania dumpingu na rynkach państw biednych. Całkowita liberalizacja światowego rolnictwa utrwaliłaby obecny układ sił polegający, krótko mówiąc, na zdominowaniu słabych przez silnych i biednych przez bogatych. Zaś bezpośrednim skutkiem obecnych międzynarodowych działań pomocowych będzie powiększenie obszaru panowania tych jednostronnych zależności rynkowych.

KTÓRĘDY DO SPRAWIEDLIWOŚCI?

Globalny obieg żywności, wzięty sam w sobie, trudno uznać za coś złego – zawsze przecież w odległych rejonach świata będą znajdować się ludzie potrzebujący czegoś, czego inni mają nieco za dużo. Sedno problemu trapiącego dziś kraje rozwijające się znajduje wyraz w opinii Raja Patela, autora książki *Stuffed and Starved* (Spasieni i zagłodzeni). Twierdzi on wprost: „O ile nie jesteś członkiem zarządu korporacji rolno-spożywczej, system żywnościowy nie działa dla ciebie” [15]. Niestety, nikt nie da dziś jednoznacznej, stuprocentowo pewnej odpowiedzi na pytanie: „jak światowy system żywnościowy uczynić bezpieczniejszym, sprawiedliwszym i jednocześnie gwarantującym taką obfitość, do jakiej przywykliśmy my, mieszkańcy zamożnej Północy (do której i Polska należy)?”

Można uznać, że większy udział krajów rozwijających się w wartości tworzonej przez globalny handel, da się uzyskać

poprzez przywrócenie do łask marketing boards lub reaktywację istniejących w latach 70. międzynarodowych porozumień, jak np. International Commodity Agreement, mających na celu negocjację cen eksportowych na tym szczeblu organizacji systemu, który zapewnia możliwie adekwatną reprezentację wszystkich grup interesu w światowego handlu, oraz zapobieganie nagłym fluktuacjom cen, mogącym prowadzić do kryzysów. Inicjatywy te jednak upadły, m.in. ze względu na fakt, że instytucje kontrolowane przez państwa nie są w stanie gwarantować równowagi niezwykle złożonego środowiska rynkowego, zwłaszcza w sytuacji, gdy interesy wielu grup są rozbieżne, a mechanizmy reprezentacji niedoskonałe. Dlatego dziś uwaga wielu przechyla się w stronę organizacji producenckich o charakterze spółdzielczym, oddolnej formy reprezentacji wielu drobnych farmerów, którzy decydując się na kolektywne działanie, mogą istotnie zwiększyć swą siłę przetargową względem korporacji, z którymi przychodzi im handlować. Rozwiązania tego typu są coraz bardziej popularne w krajach rozwijających się, a pozytywne skutki ich działania dostrzegł nawet Bank Światowy, doceniając ich rolę w swym ostatnim raporcie. Instytucje te nie są oczywiście pozbawione wad. Modelowe pojmowanie kooperatyw zakłada zdolność do skutecznej, demokratycznej kontroli nad całością organizacji, obejmującej procesy produkcji i sprzedaży, sprawowanej przez możliwie wszystkich członków spółdzielni, aktywnie uczestniczących w życiu organizacji. Warunek ten jest tym trudniejszy do spełnienia, im większa jest organizacja. Dlatego dobrze by było, gdyby ich działalność była uzupełniana przez instytucje międzynarodowe, służące częściowo jako ośrodki reprezentacji licznych, a niekoniecznie dużych organizacji lokalnych. Instytucje takie mogłyby działać np. pod egidą ONZ i pozwalałyby na to, by lokalne zrzeszenia producenckie miały wpływ na procesy zachodzące na wyższych piętrach globalnego systemu. Pozwoliłoby to na unowocześnianie zacofanego jak dotąd rolnictwa, czynienie go wydajniejszym, a jednocześnie rozwój mógłby wreszcie oznaczać nie tylko zwiększanie produkcji, lecz zdolność do uczestnictwa licznych grup społecznych w

korzyściach płynących ze zwiększonej produktywności.

Aby proces ten powiódł się w krajach ubogich, również w krajach rozwiniętych organizacje takie powinny zyskiwać na popularności, ponieważ tylko wtedy siła koncernów agrobiznesowych mogłaby zostać podkopana. Cieszyć może fakt, że niezależne organizacje producenckie z Północy zaczynają już sobie zdawać sprawę, że rozbicie oligarchicznego układu w światowym rolnictwie przysporzyć może korzyści farmerom we wszystkich miejscach globu, a zatem wszyscy oni stworzyć powinni swojego rodzaju wspólny front [16]. Sukces takiego przedsięwzięcia musiałby oczywiście oznaczać ograniczenie zdolności koncernów do bogacenia się, być może nawet przez nałożenie pewnych ogólnych prawnych ograniczeń na ich działalność, chociażby w zakresie patentowania. W sposób nieunikniony zatem, w tej hipotetycznej sytuacji, mielibyśmy do czynienia z procesem politycznym, przebiegającym na szczeblu ponadnarodowym. Jeżeli obecny kryzys finansowy zmusi rządy do przeprowadzenia radykalnych zmian w zakresie funkcjonowania sektora finansowego, to dlaczego rolnictwo, które jest w tym samym stopniu zglobalizowane, nie miałoby stać się areną podobnych przemian?

Osobną kwestią pozostaje problem, koniecznej dla pomyślności gospodarczej krajów rozwijających się, migracji ludności ze wsi do miast i przemysłowo-usługowy rozwój tych ostatnich. Proces ten musi być postrzegany jako nieodłączny od zwiększania produktywności samego rolnictwa. Są to dwie strony tego samego medalu, dwa dopełniające się aspekty jednego zjawiska – sprawiedliwego i zrównoważonego rozwoju.

Autor: Paweł Jaworski

Źródło: [Portal Spraw Zagranicznych](#)

PRZYPISY

[1]The cost of ford: Facts and figures, BBC News.
<http://news.bbc.co.uk/2/hi/7284196.stm>.

- [2]The Hunger on rise. FAO Newsroom. 18 września 2008. <http://www.fao.org/newsroom/en/news/2008/1000923>.
- [3]Zob. The Word Bank. 2007. World Development Report 2008: Agriculture for Development.
- [4]Grain. Seed, agribusiness and the food crisis. Październik 2008. <http://www.grain.org/seedling/?id=564/>.
- [5]Conseil National de Concertation des Ruraux (CNCR), Coordination Nationale des Organisations Paysannes (CNOP), Southeast Asia Regional Initiatives for Community Empowerment (SEARICE).
- [6]Zob. Grain. Seed, agribusiness and the food crisis. Op. cit.
- [7]Timothy A. Wise. 2005. Identifying the Real Winners from U.S. Agricultural Policies. Working Paper No. 05-07 Tufts University, Global Development and Environment Institute.
- [8]Liberalizacja i głód. Le monde diplomatique. Edycja polska. Maj 2008.
- [9]Secret report: biofuel cused ford crisis. The Guardian, 4 lipca 2008.
- [10]Wielkość obliczona na podstawie danych o dochodach Cargill Inc. z lat rozliczeniowych 2007 i 2008, dostępnych na <http://www.cargill.com>.
- [11]Zob. Grain. Seed, agribusiness and the food crisis. Op. cit.
- [12]Human Development Report 2007/2008 – Employment in agriculture. Dane z lat 1996-2005. <http://hdrstats.undp.org/indicators/201.html>.
- [13]UK Departament for International Developement. 2004. Rethinking Tropical Agricultural Commodities. <http://dfid-agriculture-consultation.nri.org/summaries/wp10.pdf>.
- [14]UNCTAD. 2006. Tracking the trend towards market concentration: The case of the agricultural input industry. http://www.unctad.org/en/docs/ditccom200516_en.pdf.
- [15]Zob. Raj Patel. 2008. Stuffed and Starve. The Hidden Battle for the World Food System. Melville Mouse.
- [16]Zob. Eric Holt-Gimenez. 2008. Policy Brief No.16. The Word

Food Crisis. What's behind it and what we can do about it.
Food First/Institute for Food and Development Policy.
<http://www.foodfirst.org/files/pdf/PB%2016%20World%20Food%20Crisis.pdf>.